

BOGDAN BARTNIKOWSKI

BERLIŃSKIE PRZEDWIOŚNIE 1945

W pierwszych dniach stycznia 1945 roku pomaszerowaliśmy w kolumnie „zu fünf” (po pięciu w szeregu) do bloku 13. Wcześniej od około dwóch miesięcy, byliśmy w bloku 20. sektora „D” w obozie w Birkenau – około dwustu chłopaków z Powstania Warszawskiego w wieku od 10 do 15 lat i kilkudziesięciu dziadków (jak ich trochę lekceważąco między sobą zwaliśmy), również z Warszawy. Teraz mieliśmy przebywać w 13. bloku tego samego sektora. Dawniej była w nim karna kompania. Placyk apelowy pomiędzy blokami był ogrodzony murem. Obok bloku, w głębi placu, stał mały domeczek – przez okno zobaczyliśmy, że złożono w nim różne sprzęty; na ścianie wisiała cała kolekcja batów, a najbliżej drzwi była specjalna leżanka do bicia... ukarany więzień kładł się na niej, gdy miał odebrać swoją porcję batów.

Tu, w 13. bloku, było gorzej niż wcześniej. Tu byliśmy rzeczywiście zamknięci w bloku, bo nie dało się wyjść do obozu, aby pomyszkować w wielu opustoszałych już blokach.

Torwacha, czyli straż przy drzwiach, była ostra i nie dawała się wywabić w głąb bloku, by gromadka chłopaków mogła wyskoczyć do obozu. Zamknięcie było jeszcze bardziej uciążliwe przez to, że przecież w sąsiednim sektorze „E” były więzione nasze matki. I teraz mowy nie było o tym, aby pobiec pod druty i choć przez chwilę z matką pomówić, czy choćby tylko ją zobaczyć. Teraz można było tylko wyjść na ogrodzony, śniegiem pokryty plac pomiędzy blokami.

11 stycznia rano szrajber (pisarz) wspiał się na piec, nakazał ciszę i odczytał długą listę numerów. Byłem wśród wyczytanych.

„Wyczytani wychodzić!” – rozkazał szrajber i w bloku zapanował gwar i ruch. Gdzie oni nas poprowadzą... Ciekawość, ale i strach. Bo miało nas wyjść tylko dwudziestu paru chłopaków. Niedobrze. W wielkiej gromadzie przecież bezpieczniej.

Pod wodzą blokowego pomaszerowaliśmy w stronę bramy sektora. Opatulony esesman przyjął wrzaskliwy meldunek blokowego, przeliczył nas i otworzył bramę. Skręciliśmy za nią w lewo, w stronę rewiru (sektor szpitalny), za którym wciąż jeszcze sterczał w niebo kwadratowy komin krematorium. Od kilku tygodni przestał on dymić i pluć ogniem w niebo. Już nikogo nie palili. Blokowy popędzał nas do szybkiego marszu, ale iść w głębokim śniegu zalegającym drogę nie było łatwo.

„Matki idą!” – krzyknął któryś z chłopaków. Obejrzałem się. Z sektora „E” wychodziła duża grupa kobiet i skręciła na drogę za nami. Wśród nich widać było małe dziewczynki. Nie idziemy więc sami. Tylko dokąd nas prowadzą?

Wkrótce się to wyjaśniło. Skręciliśmy z obozowej drogi do łaźni. Najpierw, jak zwykle, rozebrać się do gołego. Potem strzyżenie włosów. Zwykły rytuał pseudomycia – zimna woda, wrzątek, znów zimna woda i „raus”, „wychodzić”, „szybko!”. I już dygoczymy nago w przestronnej, zimnej sali. Nie ma naszych ubrań! Są inne. Bez numerów, bez czerwonych pasów wymalowanych na plecach, bez pasiastych kawałków materiału wszytych w wycięte dziury w kurtkach i płaszczach. Rzucają w nas jakimiś innymi ubraniami. Trafia mi się granatowy marynarski płaszczek ze złotymi guzikami, dużo na mnie za krótki, oraz kurtka, też krótką, ale z rękawami o wiele za długimi. Nawet nie próbuję prosić o wymianę, bo przecież mogę dostać kopniaka lub po głowie. Jeszcze koszula, portki o wiele za obszerne, stare drewniaki na nogi, wymięta czapka i „raus”, „schneller”, „wychodzić”...

A za drzwiami... za drzwiami na śniegu drepcze niecierpliwie gromada kobiet i dziewczynek. Nasze matki! I moja mama. Rzucamy się ku sobie z radością. Mama oczywiście płacze i chwyta mnie mocno za rękę. Nie ma jednak czasu na rozmowę, bo już musimy ustawić się w

piątki, już nas liczą i ruszamy drogą. Dokąd... nie wiemy, ale ważne, że idziemy razem, że wreszcie, po miesiącach, nie dzielą nas druty.

Tyle, że słońce wspięło się wysoko, ociepliło się trochę i śnieg przykleja się do drewniaków, tak, że zupełnie nie mogę iść. Co parę kroków muszę odbijać grube grudy śniegu od podeszew, za grupą zostać nie wolno, esesmani ostro pokrzykują, a ja już ledwie mogę utrzymać się w kolumnie.

I tak dochodzimy do wagonów. Trzech czy czterech, nie umiem powiedzieć ilu. Trzeba wspiąć się do czerwonego, pustego pudła wagonu. Znow nas popędzają – „Szybko, szybko!”. Hurgot zasuwanych drzwi. I po krótkim czekaniu ruszamy. Dokąd... ciągle nic nie wiemy. Ale jestem razem z mamą. I teraz dopiero przychodzi myśl, że wyjeżdżamy z Birkenau. Ileż to razy w czasie pobytu w obozie słyszeliśmy od starych więźniów, że stąd wychodzi się tylko przez komin. A my wyjeżdżamy! Jednak! W nieznanie. I na pewno nie na wolność. Ale opuszczamy Birkenau. Nie przez komin. I do tego opuszczamy razem. Jaki to piękny dzień... Gdzieś po godzinie niespiesznej jazdy pociąg staje, otwierają się drzwi i wysiadamy na peron. Kilku żołnierzy – już nie esesmanów! – pilnuje, abyśmy stali w ciasnej gromadzie. A jest nas z kobietami i dziećmi blisko setka. Kilkanaście kroków od nas stoją ludzie czekający na pociąg. Czasem ktoś stamtąd spojrzy krótko, ukradkiem w naszą stronę, ale nikt nie próbuje podejść, zagadać. Widzę nad peronem wielkie czarne litery nazwy stacji: Mysłowitz (Mysłowice).

I teraz dają nam chleb. Już nie zwykły obozowy trociniak. Normalny chleb. I kawał białej bułki. I kosteczkę margaryny grubą na dwa palce. Przyciskam do piersi ten skarb. Chciałbym bardzo z miejsca zacząć jeść, ale już odpychają nas od torów, bo w kłębach pary i dymu wtacza się lokomotywa ciągnąca sznur osobowych wagonów. Osobowych! Pojedziemy prawdziwym pociągiem? Jak normalni ludzie? Nie do wiary.

A jednak pojedziemy. Upychają nas w przedziałach po dziesięć osób. I po chwili pociąg rusza. Siedzę przy oknie, mogę więc patrzeć na ludzi, na domy, na przesuwany się za szybami zwykły nieobozowy świat. Pociąg nabiera pędu. Gryzę łapczywie białą bułkę. Tuż obok mnie siedzi mama. Czy może być lepiej? Nie, nie może.

Noc. Głośno łomoczą koła pociągu. Budzę się na moment, gdy przejeżdżamy przez jakiś most, i zaraz znow zasypiam. Ale po jakimś czasie znow się budzę. Sucho w ustach, bardzo chce się pić, ale nie ma wody. Spoglądam za okno. Pociąg jedzie przez las. Szeroki pas białego śniegu, a za nim czern drzew. Na skraju leśnej drogi stoi rogacz. Widać go na śniegu doskonale. Patrzy na pędzący pociąg. I już został w tyle, a ja patrzę jeszcze przez chwilę na czarny las. Przymykam oczy, jeszcze tylko ręką sprawdzam, czy mama naprawdę siedzi obok mnie. I znow drzemię.

Za oknami wagonu już dzień. Białe pola, ale śniegu jest tu dużo mniej, niż go było pod Auschwitz. Gdzieniedzie wiejskie obejścia, czasem wieża kościelna rysuje się na pochmurnym niebie w wianku bezlistnych drzew. I nagle szept w przedziale: „Widzieliście, na stacyjce którą właśnie minęliśmy, było napisane Berlin i coś tam jeszcze! To my już w Berlinie...”.

Dziwne to, ale za oknami po chwili znow przesuwa się mała stacja i nad peronem widzę dobrze napis Berlin i jeszcze jakąś nazwę, a wzdłuż torów tylko małe domki, jak u nas pod Warszawą. I wszystkie całe! „Jak to jest – mówią półgłosem kobiety w przedziale – w Warszawie wciąż mówili, że w nocy Berlin bombardowali, że cały spalony, że całe miasto to jedno wielkie gruzowisko. A tu nic! Wszystko stoi! Jakby nie było wojny od pięciu lat. Oszukiwali nas, oszukiwali...”.

Pociąg sunie przez rozległe działnice małych parterowych domków otoczonych ogródkami, w których śniegu jak na lekarstwo. Wreszcie domy stoją coraz gęściej i są wyższe, zbliżamy się zapewne do śródmieścia. I nagle nie ma domów... jezdnie sąsiadują z wyrównanymi placami

gruzu. Z morzem gruzu. W tym morzu sterczy gromadka ocalałych domów i znów rozległe gruzowisko. Więc jednak nie oszukiwali, więc jednak były tu ogromne bombardowania. Nad gruzami sterczy wieża rozbitego kościoła. A pociąg sunie dalej, zwalnia wreszcie, przystaje na chwilę raz i drugi. Na stacjach z sąsiednich wagonów wysiadają podróżni. A my jedziemy dalej, aż wreszcie na korytarzu wagonu wszczyna się ruch. „Wstawać! Wysiadać!” – komenderują żołnierze eskorty.

Stoimy długą chwilę na peronie w zbitej gromadzie. Co rusz przemykają tuż obok nas pociągi. To jakaś duża stacja miejska. Mnóstwo ludzi dokoła. Czasem zderzam się oczami z przechodzącą obok kobietą. Nikt nie próbuje do nas podejść, spytać o cokolwiek. Znów każą nam wsiadać do pociągu. Ale to już pociąg podmiejski i właściwie nikt nie odgradza nas od zwykłych pasażerów. Jakie to dziwne... jest prawie tak, jakbyśmy byli wolni. Tu, w Berlinie, po miesiącach przeżytych w Birkenau. Można by chyba zapłatać się wśród przechodniów i uciec! Tylko dokąd?

Kilka przystanków i komenda – „wysiadać!”. Idziemy pustą uliczką, wśród domków w ogródkach. Zauważam przed jednym z nich betonowego pewnie rogatego jelenia z pecyną śniegu na łbie. Ale już otwiera się przed nami brama. To pewnie nasz nowy obóz. Dziwny ten obóz – bez wieżyczek strażniczych, bez esesmanów, bez wysokich ogrodzeń pod prądem. Jednopiętrowe bloki, na rozległym placu budynek z wysokim ceglanym kominem. „Krematorium...” – rozlegają się niespokojne głosy. „Głupie! Jakie tam krematorium! Zwykła kotłownia” – mówi głośno któraś z kobiet. To dobrze, myślę z ulgą, że nie ma tu krematorium. Więc pewnie nie jest tu tak, jak było w Birkenau, z którego – jak mówili – wychodzi się tylko przez komin. To dobrze.

Tu już nie ma – jak w Birkenau – baraku stajni przepołowionego piecem, nie ma ciasno ustawionych trzypiętrowych drewnianych prycz. Tu są pokoje! Razem z Mamą zajmujemy piętrowe łóżko. Tak! Nie zapluskwioną pryczę, ale łóżko. I mamy szafę. Tylko nie ma co trzymać w tej szafie. I stół w pokoju jest i taborety. No i jeszcze pięć piętrowych łóżek stoi w tym pokoju, tak więc mieszkać nas tu będzie dwanaście osób – sześć matek i sześcioro dzieci. Zmierzcha na dworze. Wywołują nas, że trzeba iść na obiad. Obok budynku z kominem stoi drugi, niższy dom i tam właśnie idziemy. Miska ciepłej wodnistej zupy. I chleb, którego wciąż jest mało. Ale jak tu inaczej niż tam, w Birkenau. Może... może tu będzie lepiej? Tylko do Warszawy stąd dalej.

Mama będzie spała na dolnym łóżku, a ja nad nią na górnym. Wspinam się na nie, otulam kocem. Trudno uwierzyć – mam prawdziwe łóżko tylko dla siebie!

Ktoś szarpie mnie za ramię. Otwieram oczy. Noc. Ciemno, nigdzie ani światełka. Zamykam oczy ale znów szarpanie za ramię. To mama. Każe mi wstawać. W ciemności niesie się ponury jęk syren. A na korytarzu ktoś ostro krzyczy po niemiecku: „Alarm lotniczy! Wychodzić! Do schronu! Szybko! Szybko!”.

Przepychamy się w gromadzie tłoczącej się do wyjścia. Z tyłu za blokiem jest zygzakowaty schron z betonowych płyt przysypanych ziemią. W ciemnościach depczemy po tych, którzy przycupnęli pod ścianami w pobliżu wejścia. Wreszcie za którymś z zakrętów znajdujemy wolne miejsce. Siadam na betonie. Nikt nic nie mówi. Wstrząsam się od wilgoci i zimna. Słucham zawodzenia syren. Potem dudni ziemia wstrząsana wybuchami bomb. Ale to daleko od nas. Długa chwila zupełnej ciszy. Przysypiam, ale zaraz ziemia znów drży od wybuchów. I po paru minutach znów jest cicho. Zasypiam i kolejny raz budzi mnie ruch i jęk syren. Odwołanie alarmu. Możemy wracać do bloku.

Wolno drepczemy do wyjścia. Potykam się na schodach, bo schron jest wkopany w ziemię i już widzę zaróżowione nocne niebo. Gdzieś się pali... to pewnie od tych bomb.

Wspinam się na łóżko, otulam kocem, na którym leży ten mój marynarski płaszcz, zamykam oczy. Szybko usnąłem. Ale znów budzą mnie krzyki – „Alarm! Wychodzić! Szybko!”.

Trzy razy biegaliśmy do schronu tej pierwszej berlińskiej nocy. Trzy razy nasłuchiwaaliśmy dalekiego grzmotu wybuchających bomb. W tym trzecim nalocie bomby padały znacznie bliżej, niż w poprzednich. Ale... cóż to dla nas, po naszych warszawskich, powstańczych bombardowaniach!?

Dowlokłem się do bloku i skuliłem do snu, lecz po chwili znów wszczął się w sali ruch. Jeszcze jeden alarm? Nie... trzeba wstawać. Jeszcze ciemno za oknem, ale już zaczyna się dzień. A my idziemy do pracy.

Zsuwam się z mojego piętrowego łóżka. Prawie nie patrząc, na pamięć, idę do umywalni. Woda jest lodowata i budzi mnie na tyle, że z zalem mijam drzwi do naszego pokoju i stoję w gromadzie kobiet, dziewczyn i chłopaków. Opieram się o ścianę i przysmykam oczy. Spać, tylko spać... a tu gdzieś na wyganiają!

Wokół nas, stłoczonych w korytarzu przy wejściu do bloku, uwija się dwóch Niemców. To już nie esesmani, to cywilni majstrowie. Choć czy to na pewno nie esesmani? Kto ich wie. Jeden, wysoki o czerwonej twarzy, coś bardzo szybko wykrzykuje po niemiecku – na szczęście jedna z kobiet trochę go rozumie, więc tłumaczy. Młodsze dzieci mają wracać do kwater. Ja, dwunastolatek i raczej z wyższych chłopaków, jestem dla majstra dorosły. Zostaję więc wśród kobiet, które próbuje ustawić i policzyć drugi majster – ten, o dziwo, prawie się nie odzywa, a jeśli mówi, to nie krzyczy. Jeszcze chwilę trwa porządkowanie grupy i ruszamy.

W stronę bramy obozu suną, tak jak my, grupki włoskich internowanych żołnierzy, jacyś cywile ze wschodu, spora gromada kobiet i zwarta grupa mężczyzn. Do stacji s-bahnu jest niedaleko, po paru minutach marszu wspinamy się na peron. Po chwili zatrzymuje się zatłoczona kolejka. Wciąż nie mogę się oswoić z faktem, że jedziemy wśród wolnych ludzi spieszących do pracy. Zupełnie tak, jak i my bylibyśmy wolni. A jednak paraliżuje mnie strach. Nie tylko mnie pewnie, bo wszyscy trzymają się w zbitej gromadzie. I po przejechaniu chyba kilkunastu przystanków na głośne słowa wysokiego majstra przepychamy się do drzwi wagonu. Czytam nazwę stacji na peronie – Tiergarten.

Majster prowadzi nas uliczką. Jej jedna strona to splantowane miejsce, na którym kiedyś stały domy. Budynki po drugiej stronie ulicy ocalały. Ktoś tam wychodzi z bramy, kobieta wiezie dziecko w wózku, stary dozorca zamiata chodnik. Przed nami most na rzece. Przechodzimy na drugi brzeg. Prawie same zburzone domy, tu i tam, jak jakaś twierdza, sterczy czworobok kilku budynków, które bomby ominęły. Idziemy bulwarem nad rzeką, skręcamy po chwili w boczną uliczkę do połowy zasypaną gruzami. Majster zatrzymuje się i my zbieramy się wokół niego. Teraz wykrzykuje długą tyradę, po czym przywołuje gestem kilka kobiet do bramy zburzonego domu. Wynoszą z niej młotki i siekiery.

Nasze zadanie: wyciągać całe cegły ze zburzonego domu, czyścić je z resztek wapna i ustawiać w stosy. „Arbeit schnell!, Arbeit schnell!” – pokrzykuje majster.

Wspinam się na osypisko gruzu, stoję w łańcuchu kobiet i dziewczyn. I z miejsca rusza w dół, na jezdnię niekończący się potok cegieł. Cegły są mokre i zimne, palce bez rękawic marzną po paru minutach tak, że trudno nimi chwytać. Majster z ulicy krzykiem ponagla, cegły wędrują z ręki do ręki, rośnie pierwszy ich stos na skraju rumowiska. Ale czyste od wapna całe cegły kończą się szybko. Trzeba zejść na dół na ulicę i stamtąd zbierać te, które zalegają skraj jezdni. Dostaję małą, zupełnie tępą siekiere. Obtłukuję nią wapno z cegieł. Obok mnie stukają już młotki i siekiery kobiet – bo teraz wszyscy to robią.

„Patrzcie!” – mówi ktoś półgłosem, wskazując głową w stronę bulwaru. Pojawiły się na nim nagle gromadki Niemców, w ogromnej większości są to kobiety z dziećmi, rzadko tylko idzie

wśród nich starszy mężczyzna. Każdy ciągnie wózek wypełniony walizkami i tobołkami. „Gdzie oni idą...?”

I wtedy rozlega się jękliwy ryk syren. Alarm lotniczy! Patrzymy po sobie pytająco – co robić? Pracować? Czy może uciekać? Przecież jest alarm. Ruszać za idącymi Niemcami?

„Arbeit! Arbeit!” – pokrzykuje nadal majster. To znaczy, że Niemcom wolno się ukryć przed bombami. A nam nie... Znów wyją syreny, teraz jednak jakoś inaczej niż przed chwilą i tłum uciekających przyspiesza. Domyślamy się, że ten nowy sygnał to znak, że samoloty są już blisko. Majster gdzieś zniknął, odrzucamy więc narzędzia i dołączamy do gromady Niemców spieszących do niedalekiego pewnie schronu.

Znów jęczą syreny, ale teraz jakoś jeszcze szybciej, nerwowo i tłum już prawie biegnie. W rozległym parku wśród starych drzew, piętrzy się szarozielony kolos. Przez szeroko rozwarte pancerne wrota wlewa się do jego wnętrza rzeka uciekających. Żandarmi ponaglają ich, raz po raz spoglądając na niebo – czy już lecą, czy są już blisko.

„Nein! Raus!” – żandarmi zatrzymują naszą gromadę, odpychają w bok od drzwi. „Nie wolno! Z powrotem!” – bezradnie patrzymy, jak za ostatnimi Niemcami spieszącymi do schronu wolno zamykają się potężne pancerne wrota. Kręcimy się bezradnie przed wejściem do schronu, ale po chwili rozglądamy się za jakąś kryjówką, bo z dali niesie się basowy pomruk silników nadlatujących samolotów. A już zaczyna strzelać artyleria przeciwlotnicza. Tych armat musi być moc, bo ich strzały zagłuszają huk lotniczych silników. Grad odłamków sypie się na ziemię. Pierzchamy do rowów wykopanych w pobliżu schronu, gdy świszczą lecące w dół bomby i po chwili ziemia drży od potężnych wybuchów. Na nasze szczęście bombardują daleko.

Artyleria tłucze jak szalona. Rój czarnych kłębków pokrywa niebo, ale białe smugi, jakie zostawiają lecące samoloty, są już daleko od nas. Wyciągam spod pach zmarznięte ręce, oglądam pościerane palce. To od tych cegieł i wapna. Nie ma rękawic, niczego nie ma, żeby ochronić palce.

Znów jęczą syreny! I zaraz klekoczą odsuwające się drzwi schronu. Koniec alarmu.

Berlińczycy ruszają ławą do domów. My też wracamy nad Szprewę. Dochodzimy do naszych gruzów, gdy rozlega się pokrzykiwanie majstra. Podnoszę z bruku jakąś szmatę, rozdieram, owijam nią dłonie. Odnajduję na rumowisku moją siekierkę i sięgam po cegłę.

„Arbeit schnell!” – popędza nas majster, chodząc wzdłuż ulicy. Wokół mnie postukują młotki i siekierki. Na skraju jezdni rosną stopy oczyszczonych cegieł.

Dzień w dzień jeździmy do Tiergarten. Cegły, niekończące się stopy cegieł. Tymi oczyszczonymi zastawiliśmy już kilkadziesiąt metrów skraju jezdni. Resztki śniegu stopniały, choć to dopiero pierwsze dni lutego. Ale są cudowne wiadomości. Z niemieckich gazet można się dowiedzieć o kolejnych „planowych skróceniach frontu”. Warszawa jest już wolna! Częstochowa wolna. Kraków i Oświęcim także. Rosjanie stoją już nad Odrą. To tak blisko, niecałe sto kilometrów.

Tylko żeby móc przespać spokojnie choć jedną noc. A tu ciągle biegamy do schronu i do bloku. Próbowałem nie wstawać z łóżka i przedrzemać nalot, ale Niemcy sprawdzają, czy wszyscy wychodzą, i wyganiają nas co do jednego. I żeby wreszcie nie być głodnym. Ten kawałek chleba i trochę wodnistej zupy na cały dzień... to strasznie mało. Niczego się nie kupi, choć nawet dali nam marki. W obozie jest kantyna, ale w niej jest tylko cieniutkie piwo i jakaś lemoniada.

Idąc po obiad, przechodzi się obok budynku o oknach zabitych deskami. Drzwi też na głucho zamknięte. Z budynku snuje się smród gnijących kartofli czy czegoś innego. Może dałoby się coś tam wybrać, tylko jak tam wejść?

Nie ja jeden patrzę na ten budynek. Zgadałem się z Heńkiem – trzynastolatkiem z Woli.

Trzeba zobaczyć, co jest w środku budynku. Jeszcze dwie dziewczyny – Baśka i Danka – też

mają chęć pomyszkować za żarciem. Wypatrzyły, że w jednym oknie deski trzymają się bardzo słabo. Tamtędy będzie można wślizgnąć się do wnętrza.

Po powrocie z pracy, zjedzeniu tej „pochlipzupki” i odczekaniu z godzinę, aż skończy się ruch przy obozowej stołówce, wychodzimy z bloku. Ciemno, pusto, cicho. Zaczyna się deszcz. Podchodzimy pod ten budynek. Rozglądamy się uważnie, gotowi do ucieczki w różne strony. Nie, nikogo nie widać. Baśka sięga do desek osłaniających okno. To tu... dwie deski zupełnie łatwo daje się rozsunąć na tyle, że można wsunąć się do wnętrza. Tyle, że i na dworze i w środku budynku strasznie ciemno.

Heniek pierwszy wspina się do okna, już jest w środku, za nim Baśka, teraz ja... Drzę ze strachu, niemrawo idzie mi to wspinanie, popycha mnie Danką, już jestem na brzegu okna, spadam do wnętrza w coś miękkiego, śliskiego. Dławiący smród gnijącej brukwi.

Ślizgam się po śliskiej mazi, macam wokół siebie, co dotknę do jakiejś brukwi, ta natychmiast rozpada mi się pod palcami. Zgniłe, wszystkie zgniłe... ale nie, znajduję jedną, całą i twardą, po chwili drugą, trzecią... Wpycham je pospiesznie do torby, kiedy słyszę, że Heniek już wspina się na okno, skacze w dół, na ziemię, już i Baśka odchodzi, i Danką... a ja dalej szukam, chciałbym jeszcze ze dwie brukwie znaleźć. A za oknem ktoś wrzeszczy! I tupoczą uciekający i snop światła z latarki ślizga się po stosie brukwi. Przywieram do ściany i stoję cicho, tłumiąc oddech. Zobaczą mnie czy nie... Jeszcze przez chwilę światło omiata przymę zgniłej brukwi. I gaśnie. I słyszę gniewne głosy odchodzących Niemców. I płaczące prośby którejś z dziewczyn. Złapali je. Niedobrze, bardzo niedobrze.

Chwilę jeszcze siedzę pod ścianą. Skradam się do okna. Odsuwam deskę w bok, wyglądam na dwór. Nikogo nie widzę. Jeszcze raz patrzę w obie strony, nasłuchuję. Nie, żadnego głosu w pobliżu.

Skaczę z okna w ciemność. Przyciskam mocno do siebie torbę z brukwiami i pędzę, jak mogę najszybciej, w stronę nasypu kolejowego – tam nie powinno nikogo być. Stamtąd, obchodząc dookoła stołówkę i bloki, dojdę do naszego budynku.

Udało się! Najpierw pędzę do umywalni obmyć ręce i buty ze zgniłych brukwi. A potem zaglądam do pokoju, gdzie mieszkają dziewczyny. Obie siedzą na łóżku z ponurymi minami, Danką trzyma przy oku mokrą szmatę.

„Masz coś?” – patrzy na mnie z ponurą miną. Kiwam potakująco głową, wskazuję z triumfem na torbę. „A nam zabrali, dranie. I Heńka wzięli na wartownię. Pokaż, co masz...”

Wyjmuję z torby moje skarby. Niestety, dwie z trzech moich brukwi okazały się zgniłe.

Cienka twarda skorupa kryła śmierdzącą maź. A że dołączył do nas Heniek, który na wartowni dostał tylko kilka kopniaków, więc wypadło na nas ledwie po ćwiartce brukwi, trochę tylko zalatującej zgnilizną.

Następnego wieczoru znów spróbowaliśmy iść po tę brukiew. Ale okazało się, że we wszystkich oknach deski zostały mocno przybite.

Noc jeszcze za oknem, ale już nas budzą. Jak co dzień zsuwam się z łóżka, jeszcze śpiąc. Bo śpię za mało, gdy każdej nocy kilka razy trzeba biec do schronu. Ubieram się, idę do umywalni z wciąż zamkniętymi oczami. Zimna woda tylko na chwilę wytrąca ze snu. Drepczemy do s-bahnu milczącą senną gromadą, a ja wciąż śpię. Potykam się raz i drugi na schodach prowadzących na peron, któraś z kobiet potrącona przeze mnie wybucha długim histerycznym złorzeczeniem na cholernego zaspanego smarkacza. Podmuchy zimnego wiatru na peronie budzą mnie wreszcie.

Wolno wstaje dzień. Ponure zachmurzone niebo nad nami, zimny wiatr. Majster coś szybko i donośnie szwargocze. Wyławiam znane słowa. „Dziś nie jedziemy do cegieł, dziś jedziemy do urzędu pracy, pilnować się przy przesiadkach, bo jedziemy daleko”.

Wysiadamy z pociągu na małym podmiejskim już przystanku. Czytam jego nazwę – Wilhelmshagen. Krótkie przejście do rozległego ni to lasu, ni to parku. Parterowe baraki.

Gromadki takich jak my koczujące pod drzewami. Majster władczym gestem zatrzymuje nas. Tu... czekać i nie rozchodzić się.

Dobiegają głosy z gromadek czekających w pobliżu. Rosjanie? Chyba tak. A dalej rozgadani, skuleni z zimna Włosi. I jeszcze jacyś, i jeszcze... po jakimu oni mówią, kto to wie? Cała Europa tu siedzi. Długo, długo czekamy. Wreszcie idziemy za majstrem w stronę jednego z baraków. Zapisują tu imię, nazwisko, miejsce urodzenia – już nie jest ważny wbity w pamięć oświęcimski numer – szybko, szybko... popchnięcie w stronę kabiny, trzymać tablicę przy piersi, błysk flesza, wychodzić, dalej, szybko, dalej.

I znów drepczemy w kolejce. Tuż przede mną mama. Stary Niemiec w okularach grubych jak lornetki chwyta moją rękę, wciska mój palec w tusz, przystawia do papieru, drugi palec... „tu się podpisz, trzymaj, to twój dokument, następny...”.

Oglądam otrzymany dokument. Na zdjęciu ostrzyżony na zero chłopak. Na piersi numer 3664. Pod numerem data 23.2.45. A na odwrotnej stronie nazwisko i imię. A dalej miejsce pracy: SS-Baubrigade Fa. Heitmann.

Majster od drzwi baraku zagania nas do gromady, liczy, wszyscy są, idziemy w stronę stacji. Niebo zaczyna szarzeć. Zszedł więc nam tu cały dzień. Jeszcze chwila czekania na pociąg i ruszamy w drogę powrotną do obozu.

Zaraz za bramą majster zatrzymuje nas i rozdaje numerki – kartki na obiad. To codzienny rytuał. Dziś nie byliśmy w pracy, dziś nikt majstrowi nie podpadł, więc wszyscy dostają kartki. Ale gdy pracujemy, to różnie bywa. Można dostać kartkę, ale czasem, jeśli majster przyłapie na obijaniu się lub zbyt powolnym czyszczeniu cegieł, kartki nie daje. I to jest najśroźsza kara.

Kolejną noc biegamy między schronem a blokiem. W pociągu jak zwykle otaczają nas tłumnie berlińczycy o szarych, zmęczonych twarzach. Też gdzieś jadą do pracy. Też, widać to, biegali w nocy do schronów, tak jak my. Wsiadamy z pociągu na stacji Prenzlauer Allee. Majster prowadzi nas ulicą, na której stoją strażackie wozy i jeszcze dymią ruiny spalonych w nocy domów. Przy dwóch wozach strażacy mówią po polsku! Zamieniamy szybko kilka słów. Są ze Skierniewic. Niemcy we wrześniu 1944 zwołali ich i powiedzieli, że pojedą gasić płonąca Warszawę. Ale gdy już byli gotowi do wyjazdu, załadowali ich z wozami na wagony i przywieźli do Berlina. I tu gaszą pożary dzień w dzień.

Gromada więźniów takich jak my usuwa już gruz z jezdni, a my idziemy dalej. Majster wprowadza nas do ocalałego gmachu z czerwonej cegły. Kręcą się w nim szupowcy (policjanci). Szybko tłumaczą majstrowi, że będziemy ciąć gruby czarny karton dla mieszkańców, którzy po nocnym nalocie zostali bez szyb w oknach. Wielkie role tego kartonu już czekają na nas w dużej sali – krzesła złożono na stos pod ścianą, a role kartonu piętrzą się na środku sali.

Po paru minutach pierwsi berlińczycy przychodzą po karton. Smutne, ponure twarze. Swoją drogą im też niewiele lepiej niż nam. Tyle, że na kartki mają trochę więcej chleba i pewnie mięso dostają, kawałek margaryny...

W ciągu dnia nie ma, o dziwo, alarmu. Nie możemy nastarczyć z cięciem kartonu, tylu jest chętnych. Ale w południe dostajemy zupę! Gorąca woda, w której pływa parę kawałków marchwi i trochę kaszy manny. Żeby tak było co dnia...

Wieczorem bez kłopotów, bo nie było nalotów, wracamy do obozu. Żeby i jutro trzeba było ciąć ten karton. I żeby też dostać blaszankę takiej, jak mówią, gorącej melki¹.

¹ melka – zupa z wody zagęszczonej mąką (niem. Mehlsuppe)

Dwa dni cieliśmy karton, a potem wróciliśmy nad Szprewę. Na jezdni naszej ulicy wiodącej nad bulwar ktoś ułożył szyny i stały na nich żelazne wagonetki. A przy bulwarze zacumowała ogromna pusta barka.

Majster z miejsca rozdzielił pracę: gromadka kobiet nadal czyści cegły, kilka idzie nad rzekę, by układać cegły na barce. Mnie majster też wysłał na barkę. Staję na końcu łańcuszka kobiet, na żelaznym dnie barki. Wilgoć ciągnie od wody, bardzo tu zimno, ale już z rąk do rąk płyną do mnie cegły. W drugim końcu barki też rozpoczyna się układanie.

Pierwsze rządki cegieł układa się szybko, tylko po paru minutach plecy bołą, bo trzeba być nisko schyłym i obracać się w prawo po cegłę i zaraz w lewo, żeby ją położyć na dnie barki. Majster raz po raz krzyczy z bulwaru, szybko, równo, szybko... Już nie jest zimno, bo przecież cały czas jestem w wahadłowym ruchu – w prawo po cegłę, w lewo, żeby ją położyć. Ale coraz bardziej chce się wyprostować choć na chwilę. Tylko, że mowy o tym nie ma, bo cegły płyną z bulwaru nieprzerwanie. Już ułożyłem rząd na całą szerokość barki, już cofam się kładąc drugi rząd, na tym pierwszym, więc nie trzeba się schylać aż do dna.

Wyciągam rękę po następną cegłę, ale jej nie znajduję. Prostuję zbolale plecy, oglądam się. Majstra nie słyhać, cały łańcuszek kobiet podających cegły też odpoczywa.

Spoglądam w górę, na niebo. Przymglone jest trochę, ale czyste. Kasztany na bulwarze już mają małe listki! No, to już przecież marzec. I coraz częściej, tak jak dziś, świeci słońce, i dni wydłużają się. To dobrze, bo cieplej. To źle, bo coraz dłużej trzeba pracować.

Po chwili wiem, dlaczego urwał się łańcuch cegieł. Berlińczycy ruszyli do schronu. Pusty bulwar zapelnia się ludźmi... Patrzymy obojętnie na idących. Nie ruszamy wraz z nimi do schronu. Po co... wiemy, że nie wpuszczą nas tam. Mamy już w gruzach częściowo zburzonych domów kilka piwnic, które wydają się dobrym schronieniem przed bombami. Przykrywa te piwnice kilkumetrowa warstwa gruzu. Może nie zasypie nas tam, gdy bomby sypną gdzieś bardzo blisko. Może.

Wychodzę z barki na bulwar. Przysiadamy na ceglach. Dobrze tak posiedzieć na słońcu, popatrzeć na rzekę, na nieśmiałą jeszcze zieleń drzew. Ale co widzę... gromadki zdążające do schronu zawracają. I już słyhać z daleka głos majstra. Nie będzie nalotu. Polecieli pewnie gdzieś na inne cele. Szkoda. Schodzę do barki. I znów płyną w dół cegły, znów sięgam, kładę, sięgam. I tak przez długie, coraz dłuższe godziny.

Kolejny dzień przy ceglach. Ale po może dwóch godzinach układania przychodzi upragniona przerwa. Bulwarem spieszy się tłum berlińczyków, raz po raz niespokojnie spoglądają w czyste bezchmurne niebo. Majster też już przepadł. Znaczy to, że samoloty są już blisko.

Wspinam się na bulwar. Dwadzieścia może kroków od nas wbiła się w asfalt bomba. I nie wybuchła. Zielonkawe cielsko do połowy wystaje nad powierzchnię jezdni. Już trzy dni tak leży. I nie zabierają jej. Pewnie już nie wybuchnie. Ale patrzymy na nią nieufnie. Z bombą nigdy nie wiadomo tak do końca, czy nagle nie wybuchnie. Mało to się nasłuchamy ich świstu, gdy lecą, a potem wybuch, kurz, gruz sypie się na głowy, piwnica pełna dymu i kurzu, strach, że wyjście zasypane i zostaniemy pod gruzami. Albo świst, głuche uderzenie w ziemię i cisza. I teraz czekanie. Wybuchnie czy nie... a jeśli wybuchnie, to kiedy. Majster mówił na takie bomby, które później wybuchają – luftminy. A robotnicy polscy, dorośli, z którymi czasem się rozmawia, mówią, że te luftminy są specjalnie tak nastawione, żeby wybuchły nie zaraz po uderzeniu w ziemię, tylko później – za parę minut, za godzinę, na drugi dzień, nikt nie wie kiedy. I jeśli spadnie taka luftmina blisko, to strach się ruszyć. No bo spadła bomba, jest odwołanie alarmu, wychodzimy spokojnie z piwnicy, a ona wtedy wybuchą!

Spóźnieni Niemcy pędzą biegiem do dalekiego schronu za stacją Tiergarten, wózki klekoczą i podskakują na podziurawionej jezdni, a my wolno idziemy w stronę naszej piwnicy. My się nie spieszymy, my mamy blisko. Jeśli straszno, to tylko na myśl, że któraś bomba spadnie bardzo blisko i strop nie wytrzyma. I wtedy klops.

Przysiadamy na gruzach tuż przy bramie. Stąd krok tylko do piwnicy. Spoglądam na niebo. Trudno patrzeć w górę, takie dziś słońce. I na kasztanach lada dzień pewnie kwiaty się rozwiną. Wyciągam z kieszeni szmatę znaną w gruzach, drę na paski, aby owinać palce. Strasznie ostre te cegły.

O, już wracają. Więc jednak nie przylecą teraz. Trudno, trzeba wracać na barłę.

Gdy po pracy szliśmy już do pociągu, chodnikiem szedł chłopak. I dwie dziewczyny. Teczki w rękach mieli, coś tam do siebie mówili, śmieli się. Chłopak miał na sobie czarne krótkie spodnie i taką fajną żółtą bluzę. Na rękawie miał opaskę ze swastyką. Nie zimno mu w takich spodniach? Pewnie przy dziewczynach chojrakuje.

Obejrzałem się za nimi. Ze szkoły pewnie wracają. A ja – już prawie rok, jak nie miałem pióra w ręku, jak nie pisałem, jak nie czytałem.

Gdy rano przyszedliśmy nad rzekę, najpierw trzeba było usunąć gruz z torów naszej kolejki. Od wstrząsów niedalekich wybuchów zwała się na ulicę ściana dawno spalonego domu. A jak oczyściliśmy tory, znów zszedłem na barłę, żeby układać cegły.

Długo nie układałem, bo ogłosili alarm, więc była przerwa w pracy. Cicho dokoła, spokojnie, gdzieś bardzo daleko od nas bombardowali. Ale ledwie skończył się alarm i zszedłem na barłę, znów zawyły syreny i to tak nerwowo – nie na żaden tam daleki alarm, ale na bliski, niebezpieczny. Wszedłem więc z barki na bulwar. Było już pusto, po niedalekim moście biegli do schronu spóźnieni Niemcy. A z nieba niósł się już pomruk nadlatujących samolotów i artyleria zaczęła strzelać bardzo mocno.

Przezornie rozsiedliśmy się tuż przy bramie, z której schodziliśmy do naszej piwnicy. Na niebie było już pełno kłębków dymu od wybuchających pocisków. Tu i tam pacnęły na gruzy odłamki pocisków. Trzeba więc cofnąć się do bramy. I nagle świsnęły bomby. Nura do piwnicy! Bliskie, coraz bliższe wybuchy! Przecież wokół nas już wszystko zбите, po co oni tu jeszcze bombardują!? Kurz, dym, ze stropu sypią się smużki wapna, wszystko drży, gdzieś w głębi korytarza piwnicznego sypią się cegły. Wtulamy się w siebie mocno, bo strach, bo może już za chwilę będzie koniec. I gdy robi się trochę ciszej, gdy bomby sypią się już gdzieś dalej od nas, przepychamy się wszyscy do wyjścia.

Dymi się za rzeką, tam gdzie są tory s-bahnu, a za mostem, gdzie jeszcze rano stały domy, wznoszą się wielkie kłęby kurzu. Stoimy otępiali, otrzepujemy się z wapna, którym jesteśmy pokryci. Syreny ogłaszają koniec alarmu. I po paru minutach zjawia się majster, ale nie zapędza nas do pracy. Wracamy do obozu.

Przy stacji szupowcy coś z majstrem szwargoczą, machają rękami. Nie ma pociągu. I nie będzie. Trzeba do obozu wracać pieszo. To daleko. Trzeba będzie iść dobre trzy godziny. Długa, szeroka aleja. Na wielkich starych drzewach już zielenią liście. Dymy się snują, tu i tam pnie zwalonych drzew tarasują aleję. Pędzą wozy strażackie.

Przechodzimy obok bardzo wysokiej kolumny z uskrzydloną postacią na wierzchołku². Potem pod szeroką bramą, przegradzającą całą ulicę. I wchodzimy na teren, który dziś bombardowali. Jezdnia zaślana gruzem, płoną jeszcze domy, strażacy gaszą dymiące ruiny. Na skraju jezdni kręcą się gromadki mieszkańców, którzy wrócili ze schronów i zobaczyli, że już nie mają domów.

Przechodzimy obok nich. Ciemno się robi, ale pożary rozświetlają mrok. Co rusz wspinamy się na zwaly gruzu zalegającego jezdnię. Żeby się tylko nie zgubić, nie stracić z oczu majstra, który idzie na czele naszej grupy. Trudno iść po tych gruzach, a przed nami coraz to nowe ulice i wszędzie nowe gruzy.

² Siegestssäule – Kolumna Zwycięstwa na placu Großer Stern, pomnik zwycięstwa nad Francją w 1870 r.

W ciągu dnia dwa razy uciekaliśmy przed bombami do naszej piwnicy. I oba naloty były długie, walili mocno gdzieś jakby koło Alexanderplatz, ale u nas było spokojnie. Gdy jednak majster zarządził koniec pracy i poszliśmy w stronę stacji s-bahnu, pociągi na szczęście kursowały. Wcisnęliśmy się do zatłoczonego wagonu. Teraz żeby tylko dojechać do obozu i zaraz pójdziemy na obiad. A bardzo już jestem głodny. Jak co dnia.

Po kilku przystankach staje obok mnie Niemka. I gdy ludzie wsiadają i wysiadają, ona coraz bardziej przysuwa się do mnie. Nie mam gdzie się cofnąć – złości mnie to, ale i ogarnia mnie strach, że ona zaraz zacznie wrzeszczeć na przeklętych Polaków. Nieraz tak przecież było. Pociąg zwalnia, zaraz zatrzyma się. I nagle czuję, że Niemka wpycha mi coś do kieszeni. I zaraz wysiada i szybko znika w tłumie na peronie. Oddycham z ulgą, bo nie narobiła krzyku no i luźniej już teraz w wagonie.

Jedziemy dalej. Sięgam do kieszeni. Jest w niej coś okrągłego, miękkiego. Wyciągam to na brzeg kieszeni i zerkam tak, aby nikt nie widział na co patrzę. To bułka! Zjeść, już, zaraz! Ale nie, nie tu, w wagonie.

Wreszcie wysiadamy i idziemy do obozu. Pokazuję mamie bułkę. Patrzy z niedowierzaniem. „Skąd to masz?” – opowiadam, a mama, uradowana, kręci głową. „Jakaś dobra kobieta. Musiała ci dać tak, żeby nikt nie zobaczył” – mówi. „Im przecież nic nie wolno nam dawać. Jedz, synku, nie, nie dziel się ze mną, ja nie jestem głodna...”. Szkoda tylko, że ta bułeczka była taka mała. Dosłownie na dwa kęsy.

Tuż obok obozu, na wysokim nasypie, są tory, po których jeżdżą pociągi. Podmiejskie s-bahny, dalekobieżne, no i długie składy wagonów towarowych. Zdarzają się dni, że rano zbieramy się do wyjścia do pracy i majstrów nie ma. Czekamy wtedy na nich z godzinę, a potem, jeśli pada lub jest zimno, wracamy do bloku. Jeśli jest ładna pogoda – dni teraz, na początku kwietnia, często są dość ciepłe i słoneczne – myszkujemy po terenie obozu. I po okolicznych uliczkach. Bo ogrodzenie obozu jest umowne i bardzo łatwo można wydostać się na ulicę przez jedną z wielu dziur. Trzeba tylko dobrze się rozglądać. Natknięcie się na szupowca powoduje odprowadzenie do bramy i wtedy po krótkim wrzasku wraca się do bloku, zwykle z obitą głową i po kilku kopniakach. Ale... ale może zdobędzie się coś do jedzenia? A za jedzenie warto dostać nawet parę kopniaków.

W takie dni, gdy nie idziemy do pracy, bardzo też interesują nas wagony towarowe na bocznicach. Szczególnie te odkryte. Co w nich jest... bo coś musi być. Od strony nasypu kolejowego druty w ogrodzeniu też są pocięte. Jednak wagonów strzegą banszuce (straż kolejowa). Jak tylko kogoś przy wagonach zobaczą, wrzeszczą z daleka, biegną, zdarza się, że i strzelają.

My, chłopaki po Powstaniu Warszawskim, strachliwi nie jesteśmy. Wagony są bardzo ciekawe, czasem pełne buraków, brukwi, kartofli. Dla nas to skarby. A głód doskwiera. Spoglądamy więc na tory – są wagony czy nie ma. Są! Na bocznicach, tuż obok obozu, stoi długi skład odkrytych towarowych wagonów.

W pobliżu nasypu, ale jeszcze na terenie obozu, stoi pusty barak magazynu, piętrzą się tam jakieś betony. Przechodzę przez barak i wyglądam w stronę torów. Pod ścianą baraku już siedzą chłopaki z Woli – Józek i Rysiek. Przysiadła przy nich Baśka – dziewczyna z Ochoty, z ulicy Kaliskiej, jak ja. To i ja siadam przy nich. Czworo nas. Dobrze, że nie więcej. Milcząc, patrzymy na torowisko. W pobliżu stoi tylko ten jeden towarowy skład. Czy nie czają się gdzieś w pobliżu strażnicy... nie, nikogo nie widać.

Bacznie przyglądamy się wagonom. Widać, że kilka jest wyładowanych żelastwem. To nieciekawe. A dalej.... dalej jest coś dla nas! Nad burtami dwóch wagonów piętrzą się ziemniaki!

Szybkie spojrzenie na boki. Czy nikt nie nadchodzi... Dobrze jest! Biegiem pod nasyp kolejowy. Jeszcze raz spojrzenie w stronę stacji. Jazda w górę, przez krzaki i zielsko na

torowisko. Cholernie wysokie te wagony, trudno, bardzo trudno wspiąć się na nie, aby dosięgnąć do burty i do ziemniaków. Już... mam je. Jak najprędzej wpycham ziemniaki do torby. Ale już słyhać krzyki od stacji, już biegną kolejarze!

Jeszcze kilka ziemniaków do torby i skok w dół. Turlam się po nasypie, dwa susy przez wąską dróżkę. Tu też nadbiegają strażnicy! Przeczolgać się pod drutami i biegiem do tego pustego magazynu. Teraz wyrzecz na obóz, czy stamtąd nikt nie nadchodzi. Nikogo w pobliżu nie widać. I teraz już wolno, pojedynczo, w różne strony, odchodzimy, by znaleźć się w naszym bloku.

Udało się! Mam kilkanaście ziemniaków. Oddaję je z dumą mamie. Wychodzę przed blok. Czy aby nie szukają nas strażnicy, czy nie przyszli ze stacji banszuce? Nie, chyba nie. Jest cicho, tu i tam snują się ci, których dziś nie popędzili do pracy.

Za schronem, między drzewami, rosną pokrzywy. Jakimś cudem uchowały się, bo w całym obozie dawno wyrwano wszystko, co nadaje się do zjedzenia. Mamy więc ziemniaki i pokrzywy. Jest trochę grubej, szarej soli. Na dwóch ceglach stanie nasz wielki garnek. Będzie pyszna zupa! Będę jadł.

Wieczorem, gdy zgasło światło i ucichło w pokoju, coś było słyhać za oknami. Burza idzie? Chyba nie, bo takie czyste i gwiazdziste jest niebo. Słucham dalekiego, basowego pomruku. Nikt się nie odzywa, nie porusza. Uśmiecham się – wiem, że wszyscy nasłuchują, tak samo jak ja. I wiem, co to jest. To nie burza. To już słyhać front.

Za żywoplotem i siatką otaczającą teren obozu jest ulica. Idzie się nią do stacji Blankenburg i dalej, w stronę centrum Berlina. Zwykle jest na niej pusto, czasem tylko jakaś Niemka na rowerze przejedzie, czasem kilkoro dzieci idzie lub wraca ze szkoły.

Ale tej nocy od ulicy niesie się gwar. Stukot końskich kopyt, turkot wozów, warkot motorów. Gdy już się rozwidniło i wyszedłem przed blok, zobaczyłem na ulicy tłum wędrujący całą szerokością jezdni.

Uciekają. Przed nadchodzącym frontem. Teraz, w gwarze dnia, nie słyhać dalekiego nieustannego grzmotu dział. Ale Niemcy uciekają. Jadą na wozach konnych, na przyczepach traktorów, idą pieszo, ciągnąc wózki wyładowane dobytkiem, prowadzą rowery objuczone torbami i tobołami. Zatroskane, ponure twarze. Czasem dzieciak na wozie zapłacze. Są zmęczeni. To widać.

Patrzę na uciekinierów. Więc i ich dosięgło nieszczęście. Idą. Tak jak my przed rokiem. My oglądaliśmy się na coraz dalej zostające ruiny warszawskich domów, na słupy dymów nad miastem. Oni się nie oglądają. Nic się jeszcze nie pali w pobliżu, nie słyhać strzałów ani wrzasków rozwścieczonych żołnierzy. Ale tak pewnie będzie jutro czy pojutrze.

Uciekają. Zostawili wszystko, co mieli, i uciekają. W milczeniu. A my patrzemy, jak uciekają. Też w milczeniu.

Rano przyszedł do bloku majster. Dziś nie pokrzykuje, tylko spogląda co rusz, tak jak my, na drogę zawałoną uchodźcami. Minę ma marną, jak nigdy. Rozdał kartki na obiad. I powiedział, że dziś jest święto 20 kwietnia – rocznica urodzin Hitlera. Mamy więc wolne. Na torach nie ma wagonów towarowych. Przejeżdżają tylko transporty wojskowe. Snujemy się po obozie beczynn timer. Gdzieś koło południa rozlega się wycie syren. Jeszcze jeden alarm. Pewnie to taki urodzinowy prezent dla Hitlera – podśmiewamy się. Suniemy gromadą do schronu, ale przy wejściu rozglądam się po niebie. Słońce przygrzewa, ani jednej chmurki. Żal w taki dzień wchodzić w wilgotny chłód schronu. Razem z chłopakami układam się na nasypie schronu parę kroków od wejścia. Jeśli będą bliskie bomby, zdążymy uciec. Daleko, na zachód od nas, zaczyna strzelać artyleria – wyraźnie widać kłębki dymu na błękicie. Po paru

minutach ziemia drży od wybuchów. To gdzieś koło Oranienburga. Daleko od nas, na szczęście.

Mamy jeszcze trochę ziemniaków, więc mama znów ustawia garnek na cegiełkach i gotuje zupę. A ja od rana nazbierałem trochę patyków i kawałków drewna – krucho z tym drewnem, bo prawie każdy stara się coś ugotować i każdy drewna szuka.

Alarm! I na niebie, nad nami, dosłownie nad obozem, zaczyna się karuzela walczących samolotów. Trzaskają serie z działek, maszyny są wysoko, a po chwili nisko, tuż nad dachami, kręcą się w szybkich jak błyskawice zwrotach. Raz śmignął nisko jeden z czarnymi krzyżami na skrzydłach, zaraz potem zupełnie wyraźnie widać, że inny nosi czerwone gwiazdy. Walczą ze sobą. Jeden zadymił, błysnął płomieniem, poszedł ostro w dół, zniknął za drzewami, w górę buchnął słup ognia i dymu. Nasz czy ich... Nie wiemy.

I odlecieli tak samo nagle, jak się zjawili. Daleko na niebie widać rój lecących nisko maszyn. A nad nami niebo jest ciche, jasne. I tego alarmu już nie odwołali.

Wieczorem na drodze za parkanem obozu kolumna wozów rzedła coraz bardziej i w końcu zrobiło się na ulicy pusto. Już nie trzeba w zupełnej ciszy nasłuchiwać huku dział. Zupełnie wyraźnie, przy brzęczeniu szyb, słychać daleką kanonadę. Teraz szepczemy trwożnie – czy nagle nie wpadną esesmani i nie wrzasną, żeby szybko wychodzić, bo trzeba uciekać. Ale nikt się nami nie interesuje. Na wszelki wypadek spać położyliśmy się w ubraniu, jak do wyjścia. Za oknami całą noc gotował się nadchodzący front. Ciągłe jednak grzmot dział dobiegał z daleka. Dopiero wczesnie rano, jeszcze o szarówce, raz po raz grzmotnęły gdzieś bardzo blisko wybuchające pociski. Wszyscy rzucili się do drzwi na korytarz i do schronu. Złapałem tylko garnek z zupą z wczorajszego gotowania i pobiegłem za innymi. Mościliśmy się na betonowej posadzce, najpierw wszyscy mówili w podnieceniu, milknąc tylko na chwilę, gdy kolejny pocisk wybuchł bardzo blisko.

Było już koło południa, gdy wyszedłem ze schronu. Kapał rzadki deszcz. Po zachmurzonym niebie snuły się dymy i śmierdziało spalenizną. W pobliżu obozu nie było żadnych wybuchów. Stałem obok wyjścia ze schronu, rozejrzałem się dokoła. Pocisk uszkodził dach bloku i pod ścianą piętrzył się stos dachówek. Odszedłem od schronu i stanąłem pod ścianą bloku, gdzie okap dachu chronił mnie przed deszczem. Jakiś więzień od wyjścia ze schronu pokrzykiwał gniewnie na smarkacza, co to powinien siedzieć w schronie, a nie głowę nadstawiać Bóg wie po co.

Na ulicy, dobrze widocznej zza niskiego żywopłotu, było zupełnie pusto. I w ogóle zrobiło się cicho, jak przed kilku dniami, nie licząc oczywiście dalekiej armatniej strzelaniny.

Kroki na drodze! I widzę... dwóch volksszturmistów, stareńkich takich, dźwiga na ramionach po dwa pancerfausty (ręczne pociski przeciwczołgowe). Za nimi na rowerze, z peemem kołyszącym się na piersiach, jedzie esesman. Co rusz pokrzykuje na tych dziadków. Fajne wojsko...

I znów zupełna cisza wokół obozu. Ale... nie! Terkot strzałów! To już nie dalekie armaty, to karabiny i peemy. Więzień od schronu pomstuje na mnie, ale zszedł niżej po schodach i widzę tylko jego głowę. Nie, nie ruszę się stąd nigdzie!

Znów strzały! A na ulicy esesman, ten od dziadków, schylony nisko nad kierownicą pędzi ile sił w stronę stacji. I zaraz, po paru minutach... znam dobrze ten warkot silników i grzechot gąsienic. Idą czołgi. Widzę je. Wolno pełzną jeden za drugim całą ulicą. Huknęło, błysnęło, zakurzyło się wokół nich. Strzelili w stronę stacji. A dokoła, niewiadomo skąd, jakby spod ziemi wyrosli, żołnierze. Nie, to nie Niemcy. To Rosjanie.

Wokół żołnierzy już jest rój naszych kobiet, są też więźniowie z sąsiednich bloków, krzyk, radość – „jesteśmy wolni, nie ma Niemców, jesteśmy wolni!”. Ale nagle trzask wybuchu tuż za blokiem. Skaczemy do schronu, tłoczmy się w ciasnym wejściu. I zaraz drugi, trzeci wybuch, zupełnie blisko! Sypie się piasek i drobny gruz ze stropu, nagle jeszcze bliższy

wybuch, krzyk, pełno dymu i kurzu w schronie i po chwili w stropie widać mały krążek nieba. I wieść się niesie, że jedno wyjście ze schronu zawalone i tylko z trudem, pojedynczo, będzie można przecisnąć się na dwór.

Wyraźnie słychać gwałtowną strzelaninę. W obozie i w najbliższym sąsiedztwie trwa walka. I teraz przychodzi strach. Co robić... wyjść, uciekać stąd pod ogniem? Nie. Ale... co będzie, jeśli wrócą Niemcy...

Dłużą się godziny. Wokół nas wciąż huczą strzały. Ktoś wyrzwał ze schronu i przynosi wiadomość, że Niemców nie widział, ale Rosjan też chyba nie ma. Niedobrze, bardzo niedobrze.

Trochę drzemiemy, ale co rusz budzą nas wybuchy pocisków. Nad ranem w schronie zaczyna się ruch. Wychodzimy! Na dworze przycichło. Ciągłe słychać strzały karabinowe, ale już nie tak blisko, jak jeszcze wieczorem. Ostrożnie przeciskamy się przez rozbite wyjście ze schronu. Pół nieba, od strony centrum Berlina, bure od dymu pożarów. Przebiega przez głowę myśl: „Tak samo tu teraz, jak w sierpniu ubiegłego roku w Warszawie”.

Parkan oddzielający obóz od ulicy zwalony, żywo płot stratowany. Wielką gromadą, ponaglani cichymi głosami żołnierzy, wychodzimy na ulicę. Kilka czołgów drzemie, buchając ciepłem rozgrzanych silników. Przechodzimy obok nich, odchodząc coraz dalej od miasta. Domki przy ulicy kończą się, jeszcze trzeba przeleźć przez głęboki rów przegradzający ulicę, teraz już rozjeżdżony przez czołgi.

Żołnierka z karabinem na plecach kieruje naszą kolumnę w bok na pełną drogę. Za nami coraz słabszy terkot strzelaniny, bo choć to jeszcze noc, to walka w mieście nie ustaje. I nagle od strony miasta wlatuje w niebo rój białych ogni. Lecą ku nam! Straszliwe wycie...

Kolumna rozpryskuje się po polu. Ja i mama wciskamy się pod jeden z czołgów, które stoją szeregiem przy drodze. Przy nas schroniło się kilku Rosjan. „Wy kto?” – pytają, gdy tylko wpechnęliśmy się pod czołg. „Polacy. Z Warszawy” – odpowiadamy. „Aaa, znamem...”.

Ale już dokoła, na polu rozbłyskują wybuchy. Jest jasno, jak w najbardziej słoneczny dzień. Ktoś gdzieś niedaleko wrzeszczy długo, długo. Czy to ktoś z naszych? Nie wiadomo. Nikt teraz nie pójdzie na pole pod grad odłamków, w kurz, dym i wicher podmuchów, od których nasz czołg aż się kołysze.

I nagle cisza. I ciemność ogromna po tamtej jasności sprzed chwili. Po polu tu i tam pełzają płomienie i snuje się smrodliwy dym. Wypełzamy spod czołgu i ruszamy dalej. Dołączają do nas dwie kobiety, po chwili jeszcze jedna, a po paru minutach w szarości świtu idziemy dużą gromadą, szybko, byle dalej od płonącego miasta.

Dzień wstaje szary, zamglony. Dochodzimy do szerszej drogi i ona doprowadza nas do dużego gospodarstwa rolnego. Na obszernym dziedzińcu zamkniętym ze wszystkich stron stodołami i oborami tłum żołnierzy i uchodźców. Polowa kuchnia dymi i ciągnie mnie ku sobie jak magnes. Żołnierz miesza chochlą w parującym kotle. Gdy podchodzę blisko i patrzę jak zahipnotyzowany w kocioł, spogląda na mnie i zanurza chochlę. „Dierży, malczik...” – ciska mi w garnek wielki kawał ugotowanego mięsa.

Cofam się bez słowa i biegnę do mamy. Boże... takiego kawału mięsa nie widziałem od powstania! Rwiemy gorące mięso oboje palcami szybko, łapczywie, zerkając tylko niespokojnie w górę, bo tuż nad dachami ze straszliwym wyciem motorów harczą samoloty. Toczy się powietrzny bój. Ale cóż to dla nas, gdy mamy ten cudowny kawał mięsa!

Na dziedziniec wchodzi coraz to nowe gromady uchodźców. Od Berlina nasila się grzmot walki. Trzeba iść dalej. Gromadka kobiet, każda z dzieckiem, wychodzi na drogę. Żołnierze wskazują na dalekie skupisko domów – tam idźcie.

Szosa, tuż przy nas, śmigają samochody. W polu, niedaleko od szosy, kilka armat z wysoko uniesionymi lufami co chwilę błyska ogniem i huk wystrzałów wwierca się w uszy. Strzelają na Berlin.

Godzinę, może dłużej, idziemy w stronę miasta. To Bernau. Przechodzimy obok pustych domów. Przez otwarte lub pozbawione szyb okna widać mieszkania pełne mebli, widać nakryte stoły – zupełnie tak, jakby właściciele wyszli gdzieś na chwilę do drugiego pokoju. Na obszernym placu dołączamy do tłumu takich jak my. Z niewielkiego domu, przed którym stoją samochody i kręcą się żołnierze, wychodzi oficer w barankowej papasze na głowie. Tłum, rozgadany setką głosów, cichnie. „Wy kto?” – oficer pyta najbliższych stojących. „My z Ukrainy...” – odpowiadają. „Tak idźcie na Ukrainę” – mówi oficer. „A wy?” – zwraca się do innych. „My Czesi...” – pada odpowiedź. „To idźcie w Czechy. Wy wolni – mówi i zwraca się do następnych – A wy?” „Francuzi...” „Ooo, wam trzeba poczekać, bo jeszcze wojna idzie. Odpoczywajcie. To już niedługo”. A w gromadce naszych kobiet któraś mówi cicho: „Ich puszczają, a nas wywiozą. Na Sybir. Jak nie wywiozą...”. „A wy kto?” – pyta oficer zwracając się do naszej gromadki. – „My Polacy. Z Warszawy...” – mówimy. „Tak idźcie do Warszawy” – odpowiada i odchodzi do budynku.

Więc nie wywiozą nas! Można iść do domu. I zaraz cała nasza gromadka rusza tam, gdzie przez mgły i dymy widać wielkie czerwone poranne słońce. Zaraz za ostatnimi domami Bernau zaczyna się ciemny, stary las. W rowie przy drodze leży zabity niemiecki żołnierz. Ktoś mu zdjął podkuty żołnierski but z jednej nogi. Patrzą. Zatrzymuję się. Ile już trupów widziałem w Auschwitz. Obok naszego bloku leżał ich cały stos. A jednak z jakąś obawą rozsypując sznurowadło i ściągając żołnierzowi but z drugiej nogi. Odrzucam zniechęcone drewniaki. Trochę za duże te żołnierskie buty, ale wreszcie mam na nogach prawdziwe buty! Doganiam mamę, która już nawołuje mnie, żebym nie zostawał w tyle za grupą. Idziemy na wschód. Przez spalony las. Potem przez wieś, z której zostały tylko szczątki domów. „Byle do Odry – mówią kobiety co parę minut – byle do swoich”.

Na trzeci dzień niespiesznego marszu, gdy odpoczywamy za opuszczonym domem w sadzie pełnym kwitnących drzew, przychodzi do nas polski żołnierz. Drelichowy, spłowieły mundur na nim. I jakiś dziwny orzełek bez korony na czapce. „Polacy... dokąd idziecie?” – pyta. „Do Warszawy” – odpowiadamy. „Ja też z Warszawy” – mówi żołnierz. „Nie ma Warszawy. Byłem tam w styczniu – dodaje po chwili milczenia – same gruzy. Kamień na kamieniu...”. Patrzymy nieufnie. Co on mówi?! Nie ma Warszawy? To niemożliwe! Zupełnie niemożliwe. Jeszcze chwilę żołnierz siedzi razem z nami w tym pięknym sadzie, ale odchodzi. A my ruszamy w dalszą drogę do Odry. Do domu idziemy. Spieszmy nam się teraz. Jak ten żołnierz powiedział: „Nie ma Warszawy?”. To niemożliwe. Przecież tam jest nasz dom.